

ZIEMIA

Warszawa—Lwów.



ZE SKARBÓW NASZEJ PRZYRODY.

Franciszek Chłapowski.

Osobliwości przyrody poznańskiej.

4)



DRZEWO „HARFOWATE“ W LASKU NIEDALEKO KORONOWA, POW. BYDGOSKI

Przejdźmy teraz do drzew zwanych „harfowatemi“. Z gałęzi głównej, poziomej, wyrastają poboczne, prostopadłe; takim jest buk przedstawiony na rysunku powyższym.

Drzewo to z wielu innymi podobnej formy rośnie w „Lasku“ niedaleko Koronowa. Drzewa te miły mają wygląd. Magistrat opiekuje się nimi od r. 1912.

Drzewem, które najczęściej przybiera formy dziwaczne a nieraz i malownicze, jest sosna, ale sosna odosobniona, rosnąca na polach, nie w lasach. Niedaleko Bydgoszczy, obok wsi Kapuściska wznosi się pa-

ra sosen, zwanych Fryderykiem Wielkim, bo kształt ich korony, widziany z pewnego punktu ma profil zadziwiająco podobny do głowy owego króla. Pień każdej z obu sosen ma 2 m. obwodu.

Gdzieniedzie spotyka się też sosny mające formę parasola. Podobne drzewo znajduje się w zachodniej części Poznańskiego, obok promu pod wsią Wirami.

Mówiąc o sosnach, należy wspomnieć, że na nich często wyrasta jemiola. Jest to niewielki krzew, mający małe, skórkowate listki. Liście te zawsze pozostają zielone. Pytanie, jak ten krzew, a raczej jego nasiona dostają się na wy-



PARA SOSEN ZWANA FRYDERYKIEM WIELKIM, W. KAPUŚCISKO KOŁO BYDGOSZCZY.



SOSNA PARASOLOWATA W OTOCZENIU INNYCH SOSEN POD WIRAMI.

sokie drzewa? Odpowiedź prosta: nasiona jemiolowych jagód są bardzo twarde. Ptak ich strawić nie może i zostawia na drzewach, na których siada (jagody te są ulubionym przysmakiem drozda).

Nieszczęsne ptaki, roznosząc nasiona jemioli, nie wiedzą, że rozsiewają zagładę skrzydlatego rodu, bo z jagód tych od dawien dawna wyrabiają lep na ptaki. Na sośnie, która i w zimie się zieleni, jemiolę nie jest tak łatwo dostrzedz nawet o zimowej porze. I wogóle na iglastych, które są zawsze zielone, jemiola nie rzuca się tak w oczy jak na liściastych; przytem na liściastych liście jej są szersze i grubsze. Szczególniej często i licznie opanowują pasażerem ten topole czarne. Ładną grupę takich drzew widzi się o milę na północ od Poznania; nierzadko się zdarza, że skutkiem nadmiernego rozrostu jemioli opanowane drzewa giną.

Występuje ona również i na innych gatunkach roślin drzewiastych: na gruszach i jabłoniach, na akacyi i głogu, na różach, wierzbach; natomiast na dębie nie widziano jej jeszcze nigdy, a szkoda — bo przed 2000 laty Pliniusz (starszy) utrzymywał, że jemiola z dębu zdobyta jest lekarstwem na wszystkie choroby ciała i duszy.

Należy jednak pamiętać, że nie wszystkie, na drze-

wach obserwowane skupienia krzewiaste, są jemiolą. Może to też być utwór roślinny, zwany miodłą wiedzmy, a polegający na nadmiernym rozgałęzieniu konarów. Zjawisko to wywołuje grzyb mikroskopowy, występujący na wszystkich gatunkach drzew. Tenże sam grzybek wywołuje na śliwach tak zwane torbiele.

Do pomników przyrody zaliczyć także należy drzewa, z którymi związane są wypadki historyczne lub też wspomnienia religijne. Rysunek następny ilustruje lipę Herbergera, rosnącą na cmentarzu ewangelickim we Wschowie. Podług podania lipa ta, która nie ma nic osobliwego ani pod względem wielkości ani formy została posadzona po śmierci i na pamiątkę

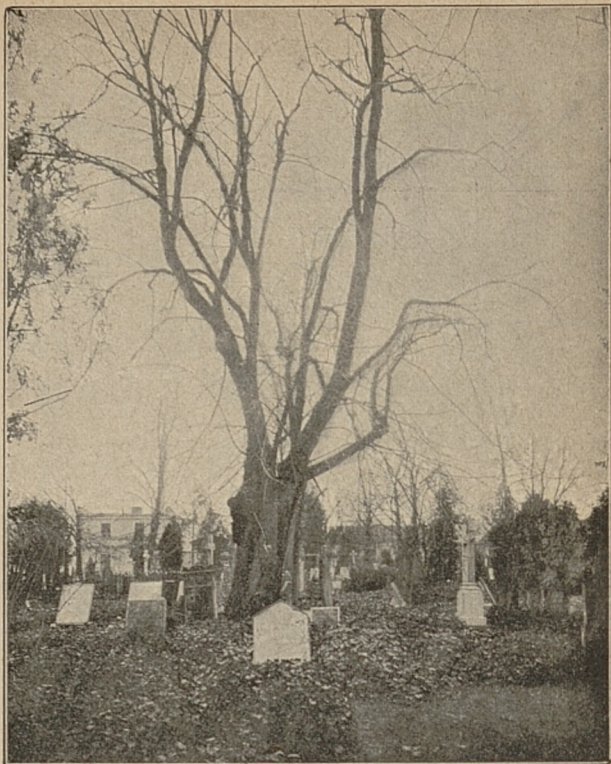
Waleryusza Herbergera, który był kaznodzieją wymownym i propagatorem gorliwym nauki Lutera. Był on autorem wysoko cenionej przez luteranów „Księgi śpiewów kościelnych“, którą wydał w r. 1613, gdy tu grasowała dżuma. Herberger umarł w roku 1627. Lipa więc, zasadzona po jego śmierci, miałaby dzisiaj (1914 r.) około 300 lat. Inni utrzymują, że Herberger, za życia sam tę lipę zasadził. Pień jej ma tylko 3,25 m., co jak na lipę tak wiekową jest bardzo niewiele, zwłaszcza gdy się ją porówna z lipami, o wiele młodszymi w Margoninie, mającymi 4 metry w obwodzie. Jak już wyżej wspomnieliśmy, rozwój drzewa zależy w znacznym stopniu od gleby. Zatem mimo, że lipa Herbergera nie wygląda na trzystoletnią,



JEMIOŁA NA CZARNYCH TOPOLACH W DOLINIE WARTY, NA PÓLNOĆ OD POZNANIA.

obliczenie wieku legendowego można przyjąć za dokładne. Podanie też orzeka, że dopóki lipa będzie się pokrywała zielonością, dopóty czysta Ewangelia będzie wygłaszana we Wschowie. Baśń zaś ludowa głosi, że lipa została posadzona korzeniami do góry.

Przy szosie, wiodącej ze Słapanowa do Wieleń, w odległości kilkuset metrów od dworu wieleńskiego rosną dwa kasztanowce, z których jeden podług podania, pozostaje w związku z wizytacją okręgu noteckiego przez Fryderyka Wielkiego. W roku 1772, gdy Prusyabrały tę część Polski, trakt pocztowy z marchii do Polski przechodził przez Wieleń i był wysadzony pięknymi kasztanami; od dworu do szosy prowadziła kasztanowa aleja. Z owych czasów zachowały się do dzisiaj tylko dwa drzewa, z których jedno uważana jest za historyczne. Jest to jedyne¹⁾ drzewo, związane z imieniem Fryderyka Wielkiego, tak „zasłużonego“ Prusom, a natomiast wiele drzew W. Księstwa nosi



LIPA HERBERGERA NA CMENTARZU EWANGELICKIM WE WSCHOWIE.

¹⁾ Autor zapomina, że powyżej wspomniał o parze sosen, zwanych sosnami Fryderyka Wielkiego (*Przyp. Red.*).

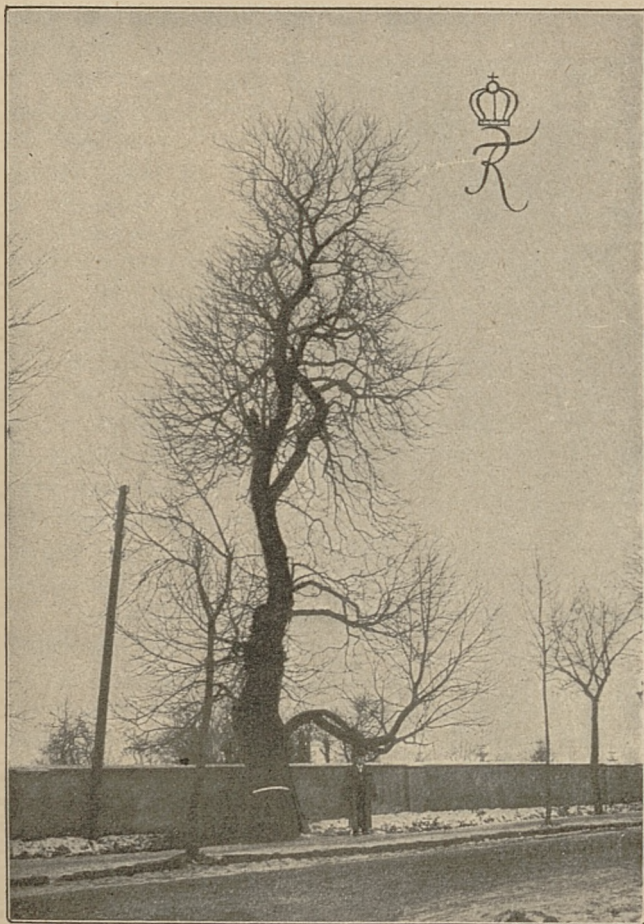
imię Napoleona. Bonaparte zostawił tu wspomnienia z czasów przemarszu jego armii do Rosji.

Do drzew historycznych należy też lipa w Przygodzicach, w powiecie ostrowskim, koło Antonina. Rośnie ona na podwórzu dworskim a pień jej ma 5 metrów obwodu. Podług podania pod lipą odbywały się sądy, co trwało aż do roku 1850, ale w ostatnich czasach nie sądzono pod lipą, lecz w domku, stojącym na lewo od dominium. Sądzono tam sprawy, dotyczące leśnictwa i myślistwa; oskarżycielem był nadleśniczy. Do pnia lipy przymocowano haki, dzisiaj zarośnięte korą; (prawdopodobnie służyły one do przywiązywania skazanych).

Z wymiarem sprawiedliwości związana jest podług podania jeszcze inna lipa w Poznańskim, rosnąca na cmentarzu, otaczającym kościół w Starym Dworze powiatu międzyrzeckiego.

Do pnia przymocowany jest nieozdobny, ale mocny naszyjnik żelazny (kuna), którym w południowej godzinie przywiązywano leniwe dziewczyny, podczas gdy pilne szły na obiad. Penitentki musiały klęczeć, co nie musiało być przyjemne.

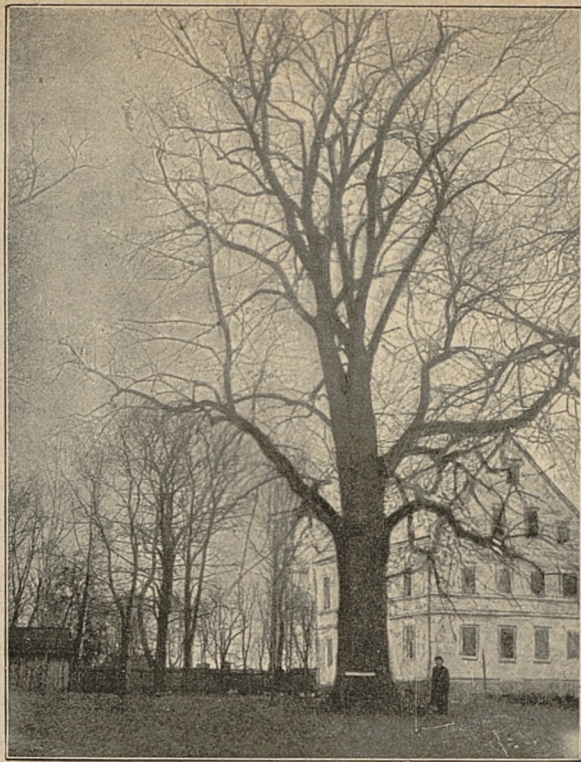
Dawniej w naszych lasach napoty-



HISTORYCZNY KASZTANOWIEC W WIELENIU.



SOSNA NAPOLEONA W BOBELWICKU, POW. MIĘDZYRZECKI.



LIPA, POD KTÓRĄ ODPRAWIANO SĄDY W PRYGOZICACH, POW. OSTROWSKI.

kano często barcie; zastępowały one ule, co przypomina czasy, kiedy pszczoła nie była jeszcze owadem tak jak dziś oswojonym.

Na barcie używano przedewszystkiem sosny, która głównie tworzyła nasze lasy. Wydrążano zagłębienie w pniu i dwa otwory, z których jeden służył do wylotu pszczół, drugi do wybierania miodu. Urządzenie bardzo proste, a wydajność miodu duża.

Przeciw takiemu sposobowi niszczenia drzew zaprotestowała oczywiście leśna, gdy go gospodarstwo leśne zostało urzędownie uregulowane. Dzisiaj więc podobne pszczołonośne drzewa należą w Księstwie Poznańskim do rzadkości. Rysunek obok wyobraża podobną sosnę znajdującą się w Kruczu.

Do wybierania miodu służył ciasny 75 cm. mający otwór, zamykany specjalnymi drzewczka-

mi, umocowanymi za pomocą gałązek wierzby.

Pień sosny tej jest śrubowato skręcony,

co zresztą często spotyka się u sosen i innych drzew krajowych. Pień skręca się zwykle ku lewej stronie, (więc w kierunku odwrotnym ruchowi strzałki zegarkowej). Na takie żywe ule wybierano zwykle sosny najgrubsze. Sosny z pod Krucza dochodzą do 5-ciu metrów obwodu, a wiek ich można ocenić na 300 lat. Były to najpotężniejsze sosny naszej prowincji, niestety wszystkie one uschły.

Przed jakimś 70 laty podoba w lasach kruckich (Theerkeuler Forst) liczono około 500 takich drzew z ulami, zajętych przez pszczoły. Właściciel tych drzew

utrzymywał do pielęgnowania ich specjalnego pasiecznika, a coroczny dochód z miodu dawał mu 3000 talarów. Ale w owych czasach ogro-



BARC POD KRUCZEM, POW. CZARNKOWSKI.

mnie przestrzenie leśne zajęte były wrzosowiskami, a na sąsiednich polach siano grykę.

Jeszcze przed trzydziestu laty włościanie

okoliczni wydzierżawiali setki uli takich w lasach kruckich.

C. D. N.



Stanisław Lencewicz.

Wyżyna Kielecko - Sandomierska.

2)

POŁOŻENIE I OROGRAFIA.

Pomiędzy Wisłą a Pilicą ciągną się w kierunku z północnego zachodu na południowy wschód szczątki większego niegdyś górotworu. Pusch¹⁾ nazwał te szczątki górami Środkowo-Polskimi (Polnisches Mittelgebirge) lub Sandomierskimi, później nazywano je bądź to górami Kielecko-Sandomierskimi, bądź Świętokrzyskimi, bądź nawet Łysogórami, choć ta ostatnia nazwa dotyczyć winna tylko jednego, najwyższego pasma. Orograficznie biorąc, wyżyna Kielecko-Sandomierska jest najwyższą częścią wyżyny Małopolskiej, ale też pod względem geologicznym jest ona genetycznie związana z paleozoizmem Zagłębia Dąbrowskiego. Góry Kielecko-Sandomierskie wchodzą w skład jednego z systemów fałdowych t. zw. Altaidów. System ten wdziera się do Europy pomiędzy południowym krańcem Uralu a Iranem, przechodzi przez nią, ginie w oceanie Atlantyckim (góry Bretanii i Irlandyi), a po drugiej stronie oceanu znów występuje, poczynając od New-Foundlandu.

Wyżyna Kielecko-Sandomierska ma kształt elipsy; oś dłuższa, ciągnąca się z PnZ na PdW, ma około 70 km. długości, oś zaś krótsza od 15 do 22 km. Z lotu ptaka ów elipsoid przedstawia się jako teren bardzo falisty o ogromnej ilości po paręset metrów wysokich wzgórz, zszeregowanych w pasma, których szczególnie wielka ilość zgrupowała się w części północnej i zachodniej elipsoidu. Oko, przywykłe do gór alpejskich, nie znajdzie tu nic kolosalnego, niema tu śnieżnych szczytów lub

dzikich turni; nasze „góry“ są przeważnie niewielkimi wyniosłościami, wystającymi z pod piaszczystej powłoki dyluwialnej, przytem wzgórz wapienne, rozsiane szczególnie w okolicach Kielc, mają stoki urwiste i grzbiety zazwyczaj ostre, wzgórz zaś kwarcytowo-piaszkowcowe mają stoki łagodniejsze. Doliny, rozdzielające poszczególne pasma, wypełnione są osadami lodowcowymi, takimi jak piasek lub less. Na tych rozległych dolinach rozłożyły się wsie, miasteczka, łąki i pola.

Współczesna orografia wyżyny została uwarunkowana bardzo złożonymi czynnikami geologicznymi, jakie działały w ciągu długich epok ubiegłych od ery paleozoicznej aż do dni dzisiejszych. Podstawowym czynnikiem rzeźby były, rzecz prosta, procesy górotwórcze: fałdowanie warstw skorupy ziemskiej, przesunięcia i t. p. Ale gdy tylko poczęły one wypiętrzać pasma, siły zewnętrzne (wietrzenie, działalność wód bieżących, fale morskie, później lodowce) niszczyły je. Siła działania tych czynników zależy znów od natury niszczonej skały: jedne z nich, wytrzymalsze, dłużej opierały się denudacyi, inne zaś, bardziej miękkie, łatwiej podlegały zniszczeniu. Do tego dołączyły się okresy akumulacyi — nagromadzania materiałów, tak iż, chcąc zrozumieć genezę współczesnej powierzchni Wyżyny Kielecko-Sandomierskiej, należy poznać jej historię geologiczną, do czego wróćę na właściwem miejscu.

Tylko północno-zachodnia część Wyżyny Kielecko-Sandomierskiej posiada charakter górzysty, wtedy gdy południowo-wschodnia stanowi obecnie płaskowyż, pocięty ogromną ilością wąwozów. Oczywiście, że zachowała się najlepiej ta część górotworu, którą składały skały twardsze, a więc wapienie dewońskie i piaskowce kwarcytowe sylurskie. To też zachodnia

¹⁾ Pusch. Geognostische Beschreibung von Polen Studgart. i Ibinga 1833.

część górotworu kieleckiego zachowała jeszcze krajobraz górzysty; liczne równoległe względem siebie pasma, porozdzielane dolinami tektonicznymi, podłużnymi i pocięte poprzecznie przełamania nadają krajobrazowi piętno starości; na południe od Kielc rozpoczyna się równiejszy teren.

Doliny podłużne są bądź synklinalne¹⁾, bądź izoklinalne (równofałdowe), bądź wreszcie antyklinalne²⁾. Charakterystyczne jest, że na południowym zachodzie terenu doliny podłużne przypadają w antyklinach, gdzieindziej zaś antykliny (siodła) są na szczytach. Izoklinalne doliny mają drugorzędne znaczenie, najważniejsze zaś doliny podłużne, jak np. Kielecko-Łagowska są synklinalne. Pierwotne doliny tektoniczne (synklinalne) uległy pewnym zmianom, zarówno wskutek osadzania się w nich okruchów skalnych (brekcyje i zlepieńce wapienne, piaski i gliny lodowcowe), jak i działania erozyji.

Doliny poprzeczne, jak już sama nazwa wskazuje, przecinają pasma poprzecznie; są one dolinami rzeczniemi i dlatego nazwać je można przełomowemi. Główne pasmo (Świętokrzyskie) przecięte jest w trzech miejscach: pod Ćmińskim, Mąchocicami i Nową Słupią; pasmo Dymińskie — pod Słowikiem, Mojczą i Niestachowem. Wszystkie te doliny są b. stare, dosyć szerokie, o łagodnych stokach, tylko przełom Lubrzanek pod Mąchocicami jest wązki o stokach stromych. Wszystkie one zawierają osady lodowcowe, wynoszone obecnie przez wtórnie wrzynające się w nie rzeki. Sobolew uważa przełomy za epigenetyczne, Siemiradzki nazywa je antecendentnymi, Gürich powstanie ich wyjaśnia przesunięciami i zapadliskami. Najprawdopodobniej są one najprzód antecendentne³⁾, a później epigenetyczne⁴⁾.

Najwyższym pasmem wśród górotworu Kieleckiego jest to, które ciągnie się od Mąchocic do Nowej Słupi w kierunku PnZ — PdW. Wysokość tego pasma przenosi 600 m., długość podawana bywa zwykle na 15 kilometrów, bo za kraniec północny w książkach i artykułach popularnych uważają Łysicę (610 m.), a za południowy — Łysą górę (592 m.). Jednak pasmo nie kończy się w tych miejscach: w kierunku PnZ ciągnie się dalej aż poza Masłów, gdzie nosi nazwę góry Masłowskiej. Zmienia się tylko jego wygląd: od Łysicy na północny zachód pasmo obniża się, znika bór jodłowy, jaki zdobi właściwe pasmo Świętokrzyskie, a zaczynają się płaskie garby, pokryte trawą, krzakami ja-

łowcu lub nawet roślinami uprawnymi, polnemi.

Na całej długości pasmo składa się z szarego, bardzo zwięzłego piaskowca, zwanego kwarcytem. Na południowym krańcu dalszym ciągiem pasma jest „góra“ Jeleniowska (530 m.), zaczynająca się zaraz za doliną Słupianki, a zwana też Witosławską¹⁾. Pasma to przesunięte jest względem kierunku, w którym przebiega pasmo Świętokrzyskie; składa się ono również z kwarcytów i również pokrywa je czarny bór jodłowy, tylko wysokość zmniejsza się.

Widzimy więc, że całe pasmo ciągnie się nieomal z poza Opatowa na południowym wschodzie, aż po Kajetanów na północnym zachodzie, tylko w trzech miejscach przecinają je doliny poprzeczne. Ale na tem nie koniec: oś pasma Świętokrzyskiego ciągnie się dalej pod utworami młodszymi wyżyny Sandomierskiej i dopiero o pół mili za Sandomierzem na lewym wysokim, bardzo stromym brzegu Wisły urywa się nagle pod nazwą gór Pieprzowych.

Drugim, znacznym pasmem jest pasmo Dymińskie. Zaczyna się ono na PdZ od Jaworzna, a kończy nie dochodząc do Iwanisk. Pasma Dymińskie jest równoległe do Świętokrzyskiego, choć oddzielne jego części niezawsze następują bezpośrednio po sobie i dlatego znane są pod różnemi nazwami. Bardziej znane wśród nich są: pasmo, ciągnące się o parę kilometrów na południe od Kielc, zwane w części Dymińskim, w części Postowskim; w najwyższym miejscu dochodzi 375 metrów. Jest to stromy, wązki grzbiet o szczycie ze skał sylurskich, a stokach dewońskich. Na wschód od niego wznosi się stroma, odosobniona góra Telegraf (402), a najwyższa część pasma znajduje się na krańcu wschodnim i nosi nazwę góry Cisowskiej (426).

Na północ od pasma Świętokrzyskiego, również równoległe od niego, ciągnie się izoklinalny grzbiet Klonowski, utworzony ze skał dewońskich i tryasowego pstrego piaskowca. Południowy dewoński kraniec tego pasma przedstawia się jako dwa kopułowate wzgórze, położone na Pd od Bodzentyna i znane jako góry Stawiana i Miejska (576).

W dolinie podłużnej, pomiędzy pasmem Świętokrzyskiem a Dymińskim znajduje się szereg izoklinalnych pasm, porozcinanych dolinami poprzecznymi na szereg kopułowatych wzgórz, głównie składających się z wapieni dewoń-

¹⁾ Pierwszą w szeregu gór „Opatowskich“ jest góra Jeleniowska czyli Zamkowa; nazwa Witosławskiej przysługuje drugiemu a nawet trzeciemu wzniesieniu, jeśli za oddzielną górę uważać będziemy g. „Opaczę“; tak je rozróżnia lud na miejscu i sztabowe mapy niemieckie. (Przyp. Red.).

¹⁾ Synklina — wklęsłość fałdy. (Przyp. Red.).

²⁾ Antyklina — wypukłość fałdy. (Przyp. Red.).

³⁾ Pierwotne.

⁴⁾ Wtórne.

szych. Zupelnie podobne stosunki zachodzą na południe od zachodniego krańca pasma Dymińskiego; znów obserwujemy tu izoklinalne szczyty wapienne, dewońskie, z pomiędzy których pięknnością i dzikością swego charakteru wyróżniają się: pasmo Chęcińskie (355 m.) i Zelejowskie (371 m.). Obydwa te izoklinalne pasma oddzielone są od siebie antyklinalną doliną i są skrzydłami jednego znacznego niegdyś pasma, którego grzbiet został tak zniszczony, że obniżył się poniżej swych stoków i utworzył antyklinalną dolinę. Dopiero w Miedziance oba pasma zlewają się w jedno. Zniszczenie grzbietu antyklinalnego i zmienienie go w dolinę, wyjaśnia dostatecznie to, że szczyt i rdzeń tego pasma składały się z miękkich łupków gliniastych a boki z wapieni.

Z innych pasm wymienię leżące już wśród terenu mezozoicznego dewońskie pasmo Zbrzańskie i jurskie pasma Małogoskie i Korzeczkowskie na południowy zachód od Chęcińskiego.

Najwyższego wzniesienia dochodzi górotwór Kielecki w pośrodku swej długości na linii Łysica-Dąbrowa. Stąd obniża się na wschód i zachód. Na uwagę zasługuje ta okoliczność, że wschodnia i zachodnia połowa różnią się od siebie stopniem rozczłonkowania i stosunkiem stoków północnych do południowych. Wschodnia połowa jest mało rozczłonkowana, wązka i składa się właściwie tylko z dwóch pasm, utworzonych ze skał, według Sobolewa—sylurskich. Ku wschodowi pasma te stopniowo zapadają pod powierzchnię wyżyny lessowej, która otacza je półkolisto z zachodu i wschodu.

Natomiast zachodnia część Wyżyny jest szeroka i rozczłonkowana na pasemka, o których wyżej była mowa. Wysokość szczytów zniża się tu jednostajnie z północy na południe, i jeżeli wyobrazimy sobie powierzchnię, łączącą szczyty zachodniej połowy Wyżyny Kiele-

cko-Sandomierskiej, to taka powierzchnia będzie miała spadek na południowy zachód, a najwyższa jej część będzie przypadała na miejscowości, położone na północ od środka wyżyny, a mianowicie na terytoryum spiryferowego i pstrego piaskowca.

Jeszcze na jedną okoliczność pragnąłbym zwrócić uwagę. Pasma, złożone ze skał środkowo dewońskich, odznaczają się wysokością od 300 do 400 m., natomiast utwory kwarcytowe (sylurskie) tworzą najwyższe szczyty (510 m.), jak również występują w dolinach tak nisko, że różnice poziomów ich występowania przenoszą znacznie 300 m.¹⁾

Tak się przedstawia w głównych zarysach paleozoizm Wyżyny Kielecko-Sandomierskiej. Bliższe poznanie jego morfologii pozostaje kwestyą otwartą.

Utwory paleozoiczne, o których mówiłem, zniżają się na północy, zachodzie i wschodzie, aby w końcu zniknąć pod młodszymi formacjami mezozoicznymi, które otaczają wyspę paleozoiczną pasem bardzo szerokim, podobnym z kształtu do podkowy, odwróconej otworem na południe, tam bowiem niema tego rodzaju przedgórz, a skały starsze najprzód przykryte są lessem, a później na południowym wschodzie urywają się nagle, odcięte od podolskiego horstu zapadliskiem galicyjsko-wołyńskim. Na zachód od Chęcin do górotworu paleozoicznego przylegają jurskie pasma Korzeczkowskie, Małogoskie i inne. Jura, otaczająca wieńcem z trzech stron Wyżynę Kielecko-Sandomierską, wydłuża się w pasmo jednofałdowe aż poza Tomaszów Rawski.

¹⁾ Sobolew. Srednij dewon Kielecko-Sandomirskiego krzaża. Materiały dla geografii Rosii, tom XXIV, 1909.

C. D. N.



Adam Chętnik.

Z ZIELONEJ PUSZCZY.

3)

Zmienił się i wewnętrzny wygląd puszczy. Jednocześnie z tępieniem lasów i kniei przepadła zwierzyna: część jej została wytępiona, reszta zaś uciekła na północ w lasy augustowskie i dalej. Jeszcze około 40 lat temu w la-

sach nadnarwiańskich były wilki, przed laty zaś 80 zarządy leśne otrzymywały specjalne cyrkularze od rządu z przepisami i sposobami tępienia i trucia tych szkodników. Dziś wilka nawet na lekarstwo nie znalazłby, a innej grub-

szej zwierzyny też niema. Sarny i dziki spotyka się czasem w gęstych zaroślach, lecz są to przybłądy z Prus, gdzie zwierzyna dzięki opiece dochowała się jeszcze. Przed paru laty sarna wpadła wśród dnia do osady Nowogrodu, zapędzona jednak przez zgraję uliczną przepłynęła Narew i skryła się w lesie. Poza tem w lasach puszczańskich są lisy, borsuki, zajęce i cietrzewie, na błotach zaś i jeziorach w obfitości kaczki dzikie, kuliki, nury, czaple. Przed 10 laty nad Pissą było kilka wydr, które jednak wyniszczono. Wobec braku zwierzyny i polowanie prawie nie istnieje. Polują tylko kłusownicy, pomimo prześladowań i kar za broń. O pozwolenie na broń trudno się wyśtarać, tem bardziej, że miejscowości zdadne do polowania dzierzawione są przez urzędników gubernialnych, oraz pp. naczelników i rządowe

tow. myśliwskie. Na polowaniu takim przed paru laty strzelano do sarny, nie trafiono jej jednak, i strzelec-leśnik miejscowy złapał ją żywcem; wtedy „myśliwi“ zarznęli ją nożem i zabrali ze sobą jako upolowaną zwierzynę. Co do ptactwa, słowików nad Narwią prawie że niema wcale, szczygłów za to jest mnóstwo.

Bartnictwo, uprawiane na barciach sosnowych, a skasowane w roku 1837 nie podniosło się już później. Jesze w r. 1810 w puszczy było do 3,000 barci, w r. 1847—35, obecnie zaś barci sosnowych z „dzeniem“ ale bez pszczoł jest w puszczy 4 — dwa pod wsią Kuziami, gm. Gawrychy, jedna pod Serafinem, a jedna pod Poredami; barcie pod Kuziami są to wyniosłe do 20 sążni sosny (starodrzew) objętości do 3 metrów, podługane przez dzięcioły.

W niektórych drzewach dawniej zerżniętych znajdowano nawet kule ołowiane z rusznic kurpiowskich czy też szwedzkich z czasów zawieruchy w roku 1702 i 1708. Chociaż bartnictwo leśne upadło, puszczaکی jednak lubią zajmować się pszczelnictwem i wielu z nich posiada przy domu pasieki w kłodach albo ulach ramowych. Często też w lesie na sośnie można zobaczyć zawieszony „wabik“ — mały ulik, powleczoney wewnątrz dla przynęty kitem pszczelim i miodem; w uliki takie łowi się wędrowne roje pszczoł. Zachowały się też niektóre zwyczaje pszczelarskie, niebardzo zresztą mądre. W jednej z wiosek (Łęg Starościński pod Ostrołęką) widziałem przystawione do wylotu ula-kłody, stare koło od wozu, tak, że otwór piasty dotykał otworu ula; przez taki tunel przedostawały się pszczoły, mażąc się w smole; gdy się pytałem starego pszczelarza o cel takiego ulepszenia, powiedział mi, że to dlatego, ażeby pszczoły były mocne; przechodzenie przez śmierdzącą piastę da pszczołom siłę, dzięki której nie dadzą się pokonać innym pszczołom w czasie wiosennego rabunku.

W innym znowu miejscu umarł stary pszczelarz, pozostawiwszy pasiekę z kilkudziesięciu pni z pszczołami. Było to w kwietniu, w czasie pierwszego wiosennego oblotu pszczoł. Na pogrzeb zebrała się cała wieś, a nawet z innych wsi, przyczem z rodziny zmarłego doradził ktoś, ażeby obowiązkowo „zbudzić“ pszczoły, które jeszcze nie zrobiły pierwszego oblotu, bo jak ich się nie zbudzi przed pochowaniem gospodarza, to wszystkie zamrą. Ponieważ wszyscy życzyli dobrze rodzinie



UL NA SOŚNIE WE WSI JEGLIJOWCU, POW. OSTROŁĘCKI.

fol. Ad Chętnik.



fol. II. Bolcewicz.

Z okolic wsi Gluchowa, pow. grójecki.

zmarłego pszczelarza — na zbudzenie zgodzi-
 ło się odrazu. „Zbudzenie“ miało polegać na
 tem, że w czasie wyprowadzania z domu nie-
 boszczyka miał ktoś do-
 świadczony uderzyć trzy
 razy drewnem w każdy
 ul. Jakoż zamiar urze-
 czywistniono, pszczoły je-
 dnak, rozdrażnione stu-
 kiem, wyszły z uli, rzu-
 ciły się na ludzi i rozpę-
 dziły cały pogrzeb, a na-
 wet jednego konia w za-
 przęgu na śmierć zagry-
 zły.

Dość rozwiniętym
 przemysłem na puszczy
 było dawniej kopanie bur-
 sztynu, które około 1830
 roku wydzierżawiane by-
 ło co 3 lata i dawało
 dochodu 4000 złotych.
 Dzierżawcami kopalni bur-
 sztynu byli Żydzi, którzy
 za tanie pieniądze lub tyl-
 ko za poczęstunek dosta-
 wali do kopania taniego
 dawniej robotnika. Pó-
 źniej rząd zabronił kopa-
 nia, wskutek niszczenia
 lasów i łąk przez kopa-
 czy.

Bursztyn kopano na
 mokradłach, gdzie znaj-
 dowwały się całe „gnia-
 zda“ tego kruszcu. Spe-
 cjaliści — kurpie mu-
 sieli rozpoznawać miejsca,
 w które trzeba było się-
 gnąć szpadlem po drogo-
 cenną bryłę. Na błotach,
 obfitujących w bursztyn,
 stojąca na wierzchu wo-
 da posiada rdzawą, żół-
 tawą powłokę lub także
 plamy. W miejscu, w któ-
 rem spodziewano się bur-
 sztynu, kopano parę nie-
 wielkich dołków i jeśli
 natrafiono na jego ślady,
 kopano duże doły. W miej-
 scach z bursztyнем były
 ślady i części kory ja-
 kiegoś drzewa; żyły bur-
 sztynowe ciągnęły się niekiedy na dość zna-
 cznej przestrzeni. Kawałki znajdowano różne:
 drobne, wielkości pięści i półfuntowe. Pewne-
 go razu kopacze wykopali kawał bursztynu wiel-
 kości „półcegi“, za co dostali od Żyda 46 rb.

Bursztyn drobny Żydzi kupowali na garnce.
 Niekiedy „bursztyniarze“ dokopywali się do zna-
 cznych brył, ale zalewało ich wtedy błoto i wo-
 da i musieli zaprzestać
 roboty z braku odpowie-
 dnich przyrządów. Kopa-
 cze-specjaliści zarabiali
 niekiedy do 6 rb. dzien-
 nie.

Bursztyn szedł na
 sprzedaż do miast lub do
 Prus, drobny na kadzidło
 do kościołów oraz na pa-
 ciorki („korale“) bur-
 sztynowe dla kurpianek.
 Bursztyny toczyli majstro-
 wie kurpie w Ostrołęce
 i Myszyńcu. Bursztyny
 „korale“, niekiedy ze śli-
 cznego bursztynu i ładnie
 toczony, ozdobione były
 niekiedy rzeźbionymi me-
 dalionami, również z bur-
 sztynu, z wizerunkiem
 Chrystusa.

Bursztyn kopano naj-
 więcej w okolicach Kadzi-
 dla: kopalnie bursztynu
 miały tu swoje nazwy: na
 „Szwedzie“, w „Żytosi“
 i w Piasecznie. Kopano
 też bursztyn około Dyle-
 wa, gdzie do dziś żyją
 „bursztyniarze“, oraz
 w wielu miejscowościach
 nad rzeką Rozogą, do-
 pływem Narwi.

Gdy kosiarze dosta-
 ną obiad, to szukają w nim
 „bursztynu“, t.j. skrawków
 słoniny. Kasza lub kar-
 tofle z „bursztyнем“ —
 znaczy, że jest okraszona
 skwarkami.

Bursztyнем nawet le-
 czono. Pewnego kurpia
 zabolalo oko, z którym
 poszedł do „doktorki“
 wiejskiej. Doktorka po-
 tarła mocno o sukno ka-
 wał bursztynu i przytknę-
 ła choremu do gołego
 oka, które od gorąca wy-
 paliło się i chłop ociemniał

(opowiadanie kurpia).

Obecnie bursztynu nigdzie nie kopią, od-
 najdują tylko kawałki na wierzchu na piasku
 lub nad Narwią i dopływami. Niema już spe-
 cjalistów od szukania żył bursztynowych ani



fol. F. Malinowski.

KURP „BURSZTYNIARZ“

tokarzy do paciorków. Jest na puszczy tylko dwóch kurpiów, którzy umieją czyścić stare zczerniałe bursztyny.

Kurpianki również na bursztynach nie poznały się: obecnie przestają nosić „korale“, i w wielu miejscach zawieszają na szyję świecące, nędzne szklane paciorki, kupowane na jarmarkach za bezcen; „korale“ bursztynowe kosztowały do kilku rubli. Wiele tych bursztynów przynoszą kurpianki do kościoła na kadzidło do trybularzy, wskutek czego mało ich już jest na puszczy.

Węgiel wypalano w różnych miejscowościach puszczy, ale robiono to wtedy, kiedy drzewo nic nie kosztowało, albo było tanie. Wypalali go przeważnie zawodowi węglarze oraz kowale na potrzeby kuźni i do wytapiania żelaza z rudy. Węglarnie najdłużej przetrwały w okolicach Baranowa, Przystani i wogóle w miejscowościach, gdzie lasy są duże. Węgiel w początkach sprzedawano na „kupki“ (gromadki), potem na worki, a wreszcie na pudy. Około r. 1885 za korzec węgla drzewnego płacono 5 złotych. Niektórzy kowale i dziś jeszcze węgiel sobie wypalają, ponieważ o kamienny trudno z powodu uciążliwej komunikacji; twierdzą też kowale, że węgiel drzewny lepszy jest do robót delikatniejszych.

Do wypalania węgla kopią rów jeden lub półtora łokcia głęboki i parę sążni długi; do rowu składają kloce sosnowe, porżnięte na parolokciowe kawałki, tak, ażeby nad powierzchnią tworzyły stożek. Wszystko to później zasypują ziemią, pozostawiając u góry parę małych otworów. Drzewo zapalają z jednego brzegu od dołu i kloce wtedy palą się parę dni bez płomienia; dym odchodzi wylotami od góry. Wę-

giel w ten sposób wypalany ma kształt, jaki mają poprzednio surowe kloce, jest twardy i daje dużo ciepła.

Smolę pędzono („szorowano“) dawniej w znacznej ilości. Jeszcze przed kilku laty uprawiano ten przemysł w Kadzidle. Smolę dobywano z karp sosnowych. Robotę wykonywano w ten sposób: kopano w ziemi dół, u góry dość szeroki, a u dołu węższy, na dno zaś stawiano „gropę“ — kocieł żelazny, który przykrywano deską z dziurkami. Na deskę układano szczapy z karp sosnowych (drzazgi) na sztorc jedne na drugie i od dołu zapalano, zasypany wszystko z wierzchu ziemią; od góry pozostawiano otwór dla dymu. Drzewo „tliło“ się powoli, a że stawiane było na sztorc, więc smoła ściekała po niem na deskę i przez dziurki do kotła. Z drzewa po „wyszorowaniu“ smoły pozostawał węgiel drzewny.

Smoly używano do smarowania wozów o drewnianych osiach, później jednak, gdy osie drewniane zastąpiono żelaznami, smoła przestała być potrzebną.

Rudę żelazną kopano i wytapiano w wielu miejscowościach, o czym świadczą nazwy wiosek: Rudka, Ruda Osowiecka, Noworuda, Żelazna. Wieś Kruszę (od słowa Kruszec) miał zapoczątkować kowal, wytapiający żelazo z rudy. O kuźnicach żelaza i przywilejach, dawanych kowalom przez królów polskich, pisał Gawarecki w „Pamiętnikach Płockich“ w r. 1830.

Dziś rudy nigdzie nie wytapiają; a chociaż czasem ją kopią, to obrabiają ją na cegły i budują z niej kominy na chałupach. Stare chałupy kurpiowskie prawie wszystkie mają kominy „żelazne“.

C. D. N.



K. Kulwieć.

Rosyanin o krajoznawstwie polskiem.

1)

Mamy pod ręką broszurę p. N. I. Sofronowa, poświęconą specjalnie krajoznawstwu polskiemu¹⁾. Wśród rozpraw rosyjskich, trak-

tujących sprawy polskie, wyróżnia się ona niezwykłą bezstronnością i ujmuje przedmiotu dość

(Le précis d'évolution de l'investigation du pays polonais. Dorpat, 1915).

¹⁾ Oczerk rozwitja rodinowiedienja w Polsce

dokładnie i obiektywnie, studjuje krajoznawstwo polskie jako objaw naszej samowiedzy narodowej, oświecła przedmiot stosunkami naszymi wewnętrznymi i wpływami politycznymi zewnętrznymi, i całą rzecz ujmuje, przyznać należy, dość udatnie.

Książka p. S. składa się z dwóch części: pierwsza rozważa krajoznawstwo polskie do r. 1900 — a ściślej biorąc do czasu powstania Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w Królestwie czyli do r. 1906, druga zaś — rozpatruje owoce sześćioletniej działalności tego Towarzystwa do chwili obecnej. Za odległych prarodziców dzisiejszego krajoznawstwa uważa autor pierwsze kroniki, oraz dokumenty państwowe, dotyczące granic, ciężarów wojskowych i innych, akta sądowe, przywileje klasztorne, wreszcie — informacje o nauce i oświacie — w których odbija się spóczesna wiedza Polaków o Polsce. Te pierwotne źródła krajoznawstwa ojczystego mieć mogą jednakże doniosłe znaczenie raczej dla badaczy naukowych, niż dla krajoznawcy nowoczesnego, dla którego są one wartości podrzędnej. Krajoznawstwo dzisiejsze powstać mogło dopiero wówczas, kiedy skryształizowały się poszczególne nauki, traktujące o ziemi — nauki fizyko-geograficzne, historia i etnografia, gdyż krajoznawstwo jest tych właśnie nauk syntezą. Idea więc poznania swojej ojczyzny zrodzić się mogła na początku XIX, a właściwie w końcu XVIII stulecia — w epoce wielkich lądowych i morskich wypraw, okresu, w którym ukazały się jako nauki: meteorologia, geologia, geofizyka, paleontologia, archeologia i etnologia.

Jeżeli zaś dotychczas nie dostrzegaliśmy narodzin i powszechnego rozwoju krajoznawstwa właściwego, to dlatego jedynie, że z jednej strony zasłoniła go nam potęga ogólnej twórczości naukowej, z drugiej zaś — że krajoznawstwo pozostaje w najściślejszym związku z rozwojem powszechnego samopoczucia społecznego i z potęgującą się wśród szerokich mas ludowych żądzą oświaty narodowej, oraz wszelkich tendencji kulturalnych — zjawiska zaś te pozostają w bezpośredniej zależności od wielu socjalnych i politycznych czynników, które rozwój krajoznawstwa na długi okres czasu mogą paraliżować lub nawet powstrzymywać zupełnie.

Rzecz jasna, rozwój krajoznawstwa polskiego rozpocząłby się znacznie wcześniej i przyjąłby zupełnie inny kierunek, gdyby nie istniały czynniki, paraliżujące oświatę narodową — ten naturalny grunt krajoznawstwa naukowego. Za sprawą czynników tych krajoznawstwo polskie nabrało swego niezwykłego kolorytu.

W końcu XVIII stulecia Polska wchodzi w okres potężnego umysłowego i kulturalnego rozwoju (ob. W. Smoleński, Przewrót umysłowy

w Polsce), pod względem ruchu naukowego dorównywa ona krajom Europy Zachodniej, a organizacja oświaty jest tam nawet dla Europy wzorem. Tu autor cytuje zdanie Al. Kraushara, uznając go za najlepszego znawcę historii polskiej z XVIII i XIX stulecia¹⁾.

„Komisya edukacyjna organizacją swą wzorową i systematem szkolnym, skierowanym ku rozwojowi nietylko umysłu, lecz i pierwiastków etycznych i humanitarnych w młodem pokoleniu, była pierwszem w świecie ucywilizowanym ministeryum oświaty. Dała ona swym przykładem państwom europejskim impuls do utworzenia władz specjalnych, poświęconych wyłącznie ważnym sprawom edukacji młodzieży w duchu narodowym“.

Obrazowi temu ówczesnego stanu Polski (z końca XVIII st.) odpowiada potężny rozkwit życia społecznego i politycznego, które tętni z równą siłą jak i w innych krajach europejskich, przetrwających idee i wypadki wielkiej rewolucji francuskiej²⁾.

„Czem dla Europy Środkowej był przewrót polityczny Francji w epoce wielkiej rewolucji, tem dla Polski samej były prace i reformy sejmowe wielkiego. Ujawniło się nieprzeczne dążenie do zerwania z konserwatyzmem poglądów w sferze stosunków społecznych, odrodziły się soki żywotne narodu szlacheckiego, wytworzył się pęd do zrównania się w pojęciach i obyczajach z narodami zachodu, do udostępnienia wszystkim warstwom społecznym reform politycznych, do wyjęcia sprawy publicznej z wyłącznej opieki szlachty i rozszerzenia praw obywatelskich na cały naród“.

Jak wiemy, zapoczątkowany ten proces rozwojowy do końca doprowadzony nie został: Polska została pochłonięta przez swych sąsiadów.

Oświata polska znalazła się w ręku Prusaków, na rzecz których przypadła najlepsze i najbardziej kulturalne dzielnice państwa polskiego; oświata tu uległa pierwszemu gwałtowi germanizacji pod wpływem wyrafinowanej i przebiegłej polityki, zmierzającej do morderstwa narodowego („ubijstwa nacyi“).

Lecz oprócz tego wroga zewnętrznego istniał jeszcze inny, wewnętrzny konspirator na mowę i oświatę narodu polskiego — a było nim maniackie zamiłowanie do francuszczyzny („francuzomanja“), jako echo panującej w on czas procesu wchłonięcia przez szerokie koła społeczne idei francuskich.

¹⁾ Al. Kraushar. Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk. Księga I. Czasy pruskie (1800—1807). Rozdział I, str. 2.

²⁾ Ibid. Rozdział X, str. 80—81.

W nowych warunkach bytu politycznego Polska zrzec się musiała współzawodnictwa z oświatą zachodnio-europejską — zadaniem życia codziennego stała się obecnie walka z naporem germanizacji na zewnątrz i z francuzczyzną — na wewnątrz, gdyż chodziło tu o uratowanie skarbów narodowych: języka, myśli i historii przed unicestwieniem lub wykoszlawieniem.

Zadanie te podejmuje „Towarzystwo Przyjaciół Nauk“, utworzone w 1800 r. przez grupę najwybitniejszych Polaków, którzy wyszli cało z pogromu narodowego.

W ciągu lat trzydziestu (1800—1832) Towarzystwo to było jedynym ogniskiem życia kulturalnego w Polsce¹⁾.

„Stamtąd rozchodziły się promienie światła, oświecające i ogrzewające umysły i serca dążeniami idealniejszymi i stamtąd przenikały do pism miejscowych wskazówki, dążące do budzenia zamilowania w narodzie do prac umysłowych, do sztuki scenicznej; tam grupowało się kółko bezimiennych znawców i krytyków, nadające scenie kierunek i nastrój narodowy, słowem, w gmachu Towarzystwa na Kanonikach ogniskowało się życie duchowe całego Królestwa, jego aspiracje do utrzymania się na wyżynach kulturalnego, europejskiego społeczeństwa“.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk należy uważać za dziadka krajoznawstwa polskiego.

Przeglądając stronicie obszernej pracy Kraushara, dotyczące mianowicie posiedzeń Towarzystwa, spotkać się możemy z mowami i komunikatami, które zapewniły Tow. Przyjaciół Nauk sławę związku literackiego i historycznego; pośród krótkich referatów z dziedziny nauk fizyko-chemicznych i biologicznych natrafiamy na projekty i przedsięwzięcia, wiążące się z wszechstronnym krajoznawstwem polskim.

Zresztą wiele tego rodzaju zagadnień z powodu specjalnych literackich i czysto historycznych względów — jak np. sprawa opracowania historii Polski, ułożenie słownika języka polskiego — podjęto na pierwszych posiedzeniach Towarzystwa; wówczas to mianowicie 5 maja 1803 roku ks. Woronicz w podniosłej mowie wzywał młodzież do zbierania pieśni ludowych. W r. 1805 Wincenty hr. Krasiński przedstawił następujący program dykcyonarza geograficzno-historycznego¹⁾.

„Każde miasto i wieś prawie winny być opisane rzędem alfabetycznym, tym sposobem:

Początek nazwiska. Imiona właścicieli. Godniejsze czyny tam zdziałane. Przypadki. Bitwy. Przebywanie wielkich ludzi. Nadgrobki. Słowem, co tylko może Polaka interesować we własnym kraju“.

Po 10 latach tenże generał Krasiński układa projekt dokładniejszego poznania ojczyzny pod względem statystycznym²⁾.

„Dla obywateli, mających wpływ u rządu — chcących polepszeniem rolnictwa sobie i krajowi się przysłużyć, zakładać fabryki i z ziemiopłodów korzystać, lepszej, nad znajomość własnego kraju, nie może być wskazówki. Od tyłu lat niszczeni wojnami, w zaburzeniach domowych, wszystkośmy bytowi politycznemu poświęcili, a nic nie uczyniliśmy dla wewnętrznego urządzenia. Inne narody, szczęśliwe, pod jakimkolwiek bądź kształtem rządu mając moment odetchnienia, doskonalili wewnętrzną byt, wyszukiwały bogactw, które natura między narody podzieliła, z pod ziemi dobywając przedmiotów, które znajomą ręką przerobione, potrzebie i zbytkom służyć mogą. My jedni kraju własnego nie znamy. Nie jeden ziemianin, potem zagony swoje kopiąc, depcze żelazne lub miedziane rudy. Ten, co domu nie ma, cios lub marmur, a familie, które drogo opłacać muszą opał, z małą pracą — torf lub węgiel kamienny prawie za schyleniem swoim, miećby mogły. Opiekuńcze przeznaczenie zostawiło Towarzystwu — oświecać jednych przez drugich, wrażeń środek polepszenia bytu i zastąpić rząd, którego nieba nam odmówiły.

W swem gronie licząc tylu światłych mężów, mogłoby rozdzielić pomiędzy członki go składające powierzchnię ziemi, by każdy w swym wydziale przedstawił Towarzystwu: powiat, lub województwo, we względzie następującym: 1) zmiana siedzib i osad; 2) grunta do nich należące, wzięte w rolniczym względzie; 3) w mineralogicznym; 4) w botanicznym; 5) spław rzek i gatunki poławiających się ryb; 6) pamiątki historyczne; 7) ubiór ludzi, ich zwyczaje, śpiewy narodowe, tradycje i przesady.

Na ważniejszych obywateli rozłożona opieka do prowadzenia tej pracy zastąpi fundusze, które rząd jeden mógłby tylko dać. Tym sposobem, w samych sobie znajdujemy tę pomoc, która, przywiązania do kraju pierwotnej cnoty będąc skutkiem, stanie się jeszcze miłszą i tym, co się do niej przyłożą, i tym, którzy z niej plony zbierać będą“.

¹⁾ A. Kraushar. Tow. Warsz. Przyj. N. Księga III. Część I. Rozdział I, str. 6.

²⁾ Księga I. Annexa VI, str. 381—382.

¹⁾ Księga II, tom II. Czasy księstwa warszawskiego (1807—1815). Rozdz. XXVI.

Z NASZEJ TURYSTYKI.

Aleksander Schiele.

Wejście na Sonnblick.

Kiedy pół wieku temu pojawili się w Szwajcaryi pierwsi alpinści Anglicy i jęli zdobywać szczyt za szczytem, wydzierając górom urok niedostępnej tajemniczości i płacąc za to krwawy haracz przepaściom skalnym i lodowym, któż pomyślał, że garstka tych „szaleńców“ była odkrywczą awangardą tysięcy i setek tysięcy turystów i alpinistów, którzy olbrzymią armią w ślad za nimi przybyli, otwierając niedostępną i dziką krainę dla ludzkości i dając jej nowe źródła potężnych natchnień surowego piękna, nowy teren walki i wycieczki?

Podobnie, kiedy kilkanaście lat temu pojawiły się u nóg pierwszego turysty wążki i długie deseczki „narty“, na których podchodził niezdarne na górki i pagórki, aby zjeżdżać z nich potem na dół, wywracając się obficie, któż zrozumiał, że narty staną się wkrótce dla tegoż turysty narzędziem, które pozwoli mu zapuścić się w najcięższą zimę w jądro lodowców i szczytów śnieżnych i zdobyć po raz drugi dla ludzkości górską krainę — w przeczystej szacie zimowej?

I czyż przeczuwałem ja sam, stawiając swoje pierwsze niepewne kroki narciarza na szczykach pogórza alpejskiego, w najbliższej okolicy Wiednia, że za lat parę będę tym narciarzem zawdzięczal poznanie olbrzyma alpejskiego Sonnblicka?

Sonnblick, jeden ze szczytów olbrzymiego kompleksu Wysokich Taurów, rozłożonych na pograniczu austriackiego Salckammergut, należy do szczytów popularnych i chętnie zwiedzanych latem i zimą. Ale o ile popularność jego w lecie wyraża się w setkach grup zwiedzających, o tyle zimą (zimę nazywa się tu czas od połowy listopada do połowy maja) zwiedza go nie więcej niż 2 partye narciarzy. Zdziwi się zapewne czytelnik, że mimo tego nazwałem ten szczyt i w zimie popularnym. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że z zamiarem zdobycia tego szczytu wyrusza co zimę kilkanaście partyi, pragnących zdobyć szczyt i użyć zjazdu, mającego słuszną sławę w świecie narciarsko-turystycznym. Z tej gromady chętnych dosięga szczytu jednakowoż paru zaledwie i to w roku dobrym (w sezonie np. 1911/12 jedynymi zdobywcami szczytu było kilku polskich narciarzy — akademików, z których jeden uczestniczył i w naszej wyprawie). Zdara się bowiem, że przechodzą tygodnie i miesiące, podczas których Sonnblick chowa się w nieprzejrzane morze mgły, na stokach jego i lodowcach szaleje mroźna wichura, a śnieg zlatuje olbrzymimi lawinami w dolinę. A wtedy nawet stary przewodnik Winkler, mieszkający wraz z siostrą u jego podnóża, nie odważy się zapuścić w stoki olbrzyma, które zamieniają się w labirynt śmierci.

Że Sonnblick ma „paść“ w sezonie zimowym 1912/13, postanowiliśmy już w jesieni roku 1912,

w czasie, kiedy wypoczywa taternik a gotuje się do walki narciarz — turysta. Obiecywałem sobie „zrobić go“ w porze najodpowiedniejszej, t. j. w marcu lub kwietniu, kiedy śnieg pokrywa najobficiej stoki i lodowce, lawiny zimowe już milczą — a wiosenne jeszcze milczą tymczasem. Stało się inaczej. Bo kiedy w początku grudnia spadły w Wiedniu olbrzymie śniegi, a depeze „śniegowe“ z Alp donosiły o metrowych pokładach, postanowiliśmy zaryzykować sprawę odrazu i wyjechaliśmy — stara gwardya wiedeńska w liczbie czterech, oraz gość ze Lwowa specjalnie na tę wycieczkę przybyły — aby przespawszy się po ośmiogodzinnej jeździe kuryerem, w Bischofshoffen, znaleźć się z rannym braskiem w Taxenbachu, gdzie czekały nas telegraficznie zamówione sanie.

Dzień pierwszy przeznaczony był na „podjechanie“ i podejście do hali Kolm Saiguru, gdzie u podnóża naszego Sonnblicka gospodaruje w opustoszałym „tanernhausie“ cerber tych okolic, Winkler. Te „podejścia“ doliną, to specjalność wszystkich większych wypraw alpejskich; dzień lub przynajmniej pół dnia trzeba na nie zawsze poświęcić. Dobrze, gdy jest pogoda. Wtedy wynagrodzi dolina czas stracony przepychem widoku, który uśpi niepokój i żądzę czynu, nurtującą pierś każdego prawdziwego turysty. Jakżeż inaczej, gdy przez dolinę przelewa się mgła, stapiająca wszystko w jedną mleczną masę. Wtedy droga dłuży się w nieskończoność, a gorączka niepokoju wzmagą się w dwójnasób, fantazyując na temat prawdopodobnego niepowodzenia wyprawy.

Ale, pocóż wspominać te smutne wędrowki, skoro dzień, jaki nas witał wjeżdżających po pokonaniu 300 metrowego progu w ujściu doliny Rauris, jaśniał śliczną, mroźną i słoneczną pogodą. Ogromna 30 kilometrowa dolina, wyłożona po obu stronach olbrzymami tauryskimi o wysokości 3000 mtr., złączonymi swoje śnieżne płaszcze i kaptury w słońcu, rozwijała przed nami kalejdoskop widoków, zwiężając się w wąskie gardziele, roztaczając rozłożyste polany, zasiane tu i owdzie domkami, to znowu zaskakując w poprzek drogi wysokim skalnym progiem.

Interpelowany przez nas ciągle woźnica wylicza trudno rozumiałym dyalektem niemieckim nazwy po kolei ukazujących się szczytów. Kwalifikujemy je po swojemu. Ten ma ścianę, która „nie puści“, z tego by się cudownie „jechało“, tamten lawiniasty z pewnością. Tylko o Sonnblicku, którego czarny leb ukazuje się wreszcie między innymi, mówimy mało i niechętnie. Stosunek turysty do szczytu, na który zagiął swój parol, ma w sobie milczącą zawziętość obok nieśmiałości, cechującej stosunki najbardziej osobiste. Zresztą, pocóż mówić, skoro już jutro przyjdzie upragniona rzeczywistość.

Pojutrze, pozajutrze, i długo, długo potem i tak o niczem innym mówić nie będziemy.

Po kilku godzinach jazdy znaleźliśmy się u końca drogi, skąd jeszcze parę godzin do schroniska w Kolm Saiguru. Tu przypinamy narty i zapadamy w odwieczny las, którym zdążamy, jak na szanujących się turystów przystało, milcząc, ku górze. W głębokim już zmięczeniu stajemy przed Tauernhausem, witani mile przez parę Winklerów, dla których każdy gość w porze zimowej jest sensacją nielada. Ale jest ktoś, dla kogo człowiek jest jeszcze bardziej rzadkim zjawiskiem niż dla tych dwojga. Ten „ktoś“ zajmuje nocą miejsce między gwiazdami. Kto bowiem spojrzy nocą tutaj po niebie, dostrzeże nad samym czubem Sonnblicka, odsłaniającego ku nam swoją olbrzymią 1600 metrową ścianę, gwiazdkę nie większą od innych, tylko nieco bardziej czerwona. Tę gwiazdkę zapala co noc człowiek, mieszkający na szczycie Sonnblicka na stacyi meteorologicznej „Zittelhaus“. Zaprowiantowany na zimę, spędza tygodnie i miesiące w swej szczytowej siedzibie, notując zjawiska meteorologiczne i komunikując je dalej — telefonem. Zdarzają się całe miesiące, kiedy człowiek z Zittelhausu telefonuje dzień w dzień: „Burza, zamieć, huragan“. W czas pogodny zjeżdża ze szczytu na nartach ku Kolm Saiguru, skąd znowu podąży ku górze Winkler. Na połowie drogi następuje spotkanie, przyczem Winkler wręcza samotnikowi, pocztę z nizin. Zamieniają słów parę, (ludzie ci są bardzo małowolni) — i twardy uścisk dłoni, poczem powracają do swych samotni.

W schronisku — zacisznem, ciepłym i sympatycznym, odbywamy zaraz po przybyciu „naradę wojenną“ z Winklerem, któremu powierzamy przewodnictwo, nie chcąc narażać się na niepowodzenie i niebezpieczeństwo, jakie czycha tutaj stale na turystę w postaci mgły. Postanawiamy wyjść jutro na Sonnblick, przenocować w Zittelhausie, pojutrze zaś zdobyć szczyt Scharedz, vis à vis Sonnblicka, po drugiej stronie lodowca.

Nocą jeszcze opuściliśmy schronisko. Na dworze mróz tęgi, niebo gwieździste, bez chmurki. Ale śnieg twardy, złodowaciał. Nie kładziemy przeto nart i idziemy pieszo, dźwigając zgoła nie lekkie „deseczki“ na ramieniu. Mrozu nie czujemy zupełnie, przeciwnie, rozgrzani pochodem przystajemy od czasu do czasu, wypatrując zorzy porannej. Wschodzące słońce, będące dla nas hasłem do przypięcia

nart, ujrzało nas już wysoko nad doliną zawieszonych między labiryntem półek i zachodów, jakimi kręci się wśród przepaścistych ścian i stoków szlak narciarski. Wreszcie przypięcie nart nie okazało się zbyt szczęśliwem w skutkach. Twardy bowiem, pokryty zwartą skorupą śnieg nie daje należytego oporu nartom, które, ześlizgując się ustawicznie, budzą w nas obawę stoczenia się w dół. Potężnie zmęczeni dobijamy do pierwszego etapu drogi, jakim jest ruina, pozostała po poszukiwaczach kruszców. Jesteśmy na wysokości lodowca „Gruppenkees“, już na południowych zboczach Sonnblicka. Wypocząwszy czas dłuższy i ulżywszy mocno nieśmiało ciężkim workom plecnym, ruszamy dalej w drogę. Tu czekała nas cięższa jeszcze przeprawa. Strone bowiem stoki pokrywał już nie śnieg, a lód gładki i wypolerowany przez słońce na zwierciadło. Walczymy też na tym kawalku drogi z paszą niewypowiedzianą, jaka zwykle w takich razach ogarnia narciarza. Krok za krokiem wrębujemy brzegi nart w twardą skorupę, wyciskując całą siłę nóg i ciała, zdobywając wprost metr za metrem wzniesienia. Trudności i zmęczenie, jakie nas niezadługo ogarnęło, podnosi w ogromnej mierze upał nieznośny i oślepiający blask, bijący od lodowca. Opowiadanie o upale przy tęgim mrozie, o którym wspominałem na początku opisu, wydać się może dziwnem lub naciągniętem; jednakowoż jest ono prawdziwe i każdy turysta, odbywający wycieczki zimowe ponad wysokością 1500 metrów, doświadczył go z pewnością na własnej skórze. Upał ten jest o wiele złośliwszy od letniego, paląc powierzchownie skórę, podczas gdy usta wchłaniają lodowate powietrze. Przyczyny tego należy szukać w bardzo intensywnej, dzięki czystości atmosfery, insolacji, refleksie śniegu i wielkiej ilości promieni cieplnych. Nie potrzeba chyba dodawać, że upał ten daje się odczuwać tylko w słońcu — w cieniu panuje mróz. Blask bijący od lodowców i śniegu w ogóle, jest niezmiernie szkodliwy dla oczu, wywołując chorobę wzroku, mogącą zakończyć się nawet jego utratą. Turysta broni się od niego specjalnymi zielonemi lub żółtymi okularami.

Na drżących z wysiłku nogach, zgrzani i zmęczeni dobiliśmy po dwóch z górą godzinach do Rojacherütte, umieszczonej na wysokości 2,900 m. Przystadłszy na progu powietrznej chatki odpoczęliśmy dłuższą chwilę, uciszając spracowane płuca i zmęczone serce, oraz zaznajając przedsmaku przepysznej panoramy, jaka się miała przed nami roztoczyć ze szczytu.

D. N.



Z Pol. Tow. Krajoznawczego.



We środę d. 21 b. m. w wielkiej sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie odbyło się miesięczne zebranie Polsk. Tow. Krajoznawczego pod przewodnictwem prezesa K. Kulwiecia, który po odczytaniu i zatwierdzeniu

protokołu z posiedzenia poprzedniego, zdał sprawę z czynności Towarzystwa za ubiegły miesiąc.

Podczas teryi świątecznych kilku członków Zarządu wizytowało oddziały prowincjonalne. Towarzystwo otrzymało propozycję przystąpienia do projektowanego przez wszystkie muzea polskie wydawnictwa, specjalnie muzealnictwu polskiemu poświęconego. Wydawnictwo to ma na celu między innymi doprowadzenie do porozumienia pomiędzy poszczególnymi zarządami zbiorów publicznych i prywatnych i niesienie sobie wzajemnej pomocy. Po przeprowadzonych pertraktacjach inicjatorowie tej idei polecili Tow. Krajoznawczemu opracowanie zasad i regulaminu takiego przedsięwzięcia.

Postanowiono utworzyć specjalny komitet w celu podjęcia wydawnictwa, poświęconego zabytkom sztuki ludowej — głównie kapliczek przydrożnych (ob. artykuł Stasiaka w № 52 „Ziemi” z roku 1915). Do komitetu zaproszono przedstawicieli Tow. Opieki nad zabytkami przeszłości i Warszaw. Tow. Artystycznego.

Druk rocznika Tow. posuwa się naprzód, przewidywane jednakże jest opóźnienie z jego wykończeniem z powodu zwłoki w nadsyłaniu sprawozdań rocznych przez niektóre opieszale oddziały prowincjonalne.

Wobec niemożności nie tylko zainkasowania od niektórych członków należnej Towarzystwu składki, ale nawet porozumienia się (dla braku zmienionego adresu) z tymi dłużnikami, postanowiono przy nazwiskach ich na liście członków wydrukować gwiazdki(*).

Zalegalizowano nowy Oddział Towarz. w Żbikowie pod Warszawą.

Postanowiono zorganizować wykłady dla przewodników po Warszawie — czem zająć się postanowiła Sekcja miłośników Warszawy.

Nowych członków przyjęto w ciągu ubiegłego miesiąca 56.

P. Tadeusz Podkomorski zdał sprawę z odbytych w okresie sprawozdawczym wycieczek po Warszawie i zapowiedział plan wycieczek lutowych, komunikując, że nadal ani o miejscu zbornem ani o terminach wycieczek takich komisja wycieczkowa wiadomości przez prasę publikować nie będzie, a to w celu uniknięcia zbiegowisk, które sprawiają „amatorowie” bezpłatnego udziału w wycieczkach krajoznawczych (t. zw. „gapiów”). Wiadomości te każdy z prawych uczestników wycieczki otrzyma na wykupionej karcie uczestnictwa. Poza tem postanowiono, aby pierwszy dzień sprzedaży kart takich przeznaczyć wyłącznie dla członków Towarzystwa Krajoznawczego, a dopiero następnego dnia udzielać ich (o ile nie zostaną wyczerpane) i osobom „wprowadzonym”, do Tow. nie należącym.

Tu zaznaczyć należy, że na tegoroczne wycieczki krajoznawcze karty uczestnictwa rozchwytywane są zwykle pierwszego dnia — niekiedy w ciągu jednej godziny.

Po komunikacie tym niezwykle piękny odczyt wygłosił p. Mieczysław Limanowski na temat „O wybuchach wulkanów”.

Zaznaczając na wstępie, że i ziemia polska, szczególnie na południowych swych kresach, była niegdyś widownią wybitnej działalności wulkanów (ślady ich do dnia dzisiejszego zachowały się w okolicach Krakowa i w Tatrach — oraz w Karpatach wschodnich — w Siedmiogrodzie), prelegent w barwnej i pełnej polotu formie scharakteryzował trzy odrębne typy wulkanów, reprezentowane przez wulkany włoskie: Stromboli, Etny i Wezuwiusz.

Zajmujący sam przez się i aktualny z powodu katastrof dni ostatnich w Japonii temat ujęty został przez prelegenta z taką głębią i wyrazistością, iż słuchacze doznali złudzenia, że osobiście z p. Limanowskim odbyli wycieczkę naukową po tak bogatych w zjawiska przyrody południowej — zboczach wulkanicznych ziemi włoskiej i do ich zięjących ogniem i parą kraterów zajrzeli.

Odczyt ten był do pewnego stopnia wykładem inauguracyjnym szeregu konferencji geologicznych, które p. Limanowski rozpoczął dla członków Towarzystwa Krajoznawczego w dniu 23 b. m.

Następne zebranie miesięczne odbędzie się d. 25 lutego z odczytem p. A. Sujkowskiego.

oooooooooooo

Nowe książki.

Rocznik Gebelnera i Wolffa. Kalendarz encyklopedyczno-praktyczny na rok 1914.

Nie tu miejsce — w piśmie krajoznawczem — zajmować się układem i wartością całego rocznika, mającego zresztą dość już ustaloną sławę. Trudno nam wszakże powstrzymać się od pobieżnego bodajby przyjrzenia się jednemu z jego działów, w zakres naszej pracy nad poznaniem kraju wchodzącej. Jest tam jeden mianowicie całkiem osobliwy dział pod niemniej osobliwym tytułem „Spis najstarszych grodów oraz wykaz jaskiń w Królestwie Polskiem dla użytku turystów”. Tytuł osobliwy choćby z tego względu, że pod nim wymienione są nie grody, tylko miasta, i że nie obejmuje ani jednej jaskini. Przypuśćmy jednak, że ściślejszy związek między tytułem a treścią jest sprawą mniejszej wagi i zobaczymy, jaki to „użytek” może mieć turysta z zawartego na 10 stronicach opisu i dziejów naszych miast. I niech nam wolno będzie turyście temu poradzić, żeby się byle czem nie zrażał i cierpliwie czytał do końca. Nic to, że go autor pouczy np. o Drzewicy, iż w niej jest „fara” z 1315 (powiedzmy dla ścisłości z 1460), że miasto słynęło z piwa i hut żelaznych, a zapomni mu powiedzieć, że tam stoją jedne z piękniejszych i okazalszych ruin zamków polskich; że mu w Ilży każe podziwiać ratusz z XVI w., (zburzony w początku XIX w.), a w Pińczowie zamek, po którym zostało ledwie miejsce i wspomnie-

nie; że w Kozienicach stoi jeszcze most z 1409, choć go zdaniem historyków zaraz po złożeniu kazał Jagiełło spuścić Wisłą pod Czerwińsk; że w Kurzówkach ma być pałac z XVI w. w stylu Odrodzenia, który co prawda nie jest w istocie ani z XVI wieku ani w stylu Odrodzenia; że zamek w Janowcu słynny jest z tego, iż go 1785 kupił p. Piaskowski, a o tem, że go pięknym kształtem wzniesli i wielkimi wspomnieniami zaludnili Firlejowie nie mówi się i pewno nie wie; że w Ojcowie są dwie pieczary, a nie jak dotąd wszyscy myśleli sześćdziesiąt kilka; że wreszcie—co już jest szczytem i co tak pięknie uzupełnia erudycję historyczną autora — Nieszawa leży na pograniczu Królestwa Polskiego i Prus, albo że Raciąż w „r. 1512 przeszedł na majątność kozacką“. Ale dość tego. Musimy poprzestać na tych kilku zerwanych na chybił trafił kwiatkach, nie możemy przecież przedrukowywać w całości całych dziesięciu stronic dla przekonania cierpliwego czytelnika, jakiego to właściwie rodzaju użytek powinien zrobić turysta z tak przedziwnie ułożonego „pisu“. Tu nie chodzi o pomyłkę, o sto czy pięćset pomyłek, zawsze możliwych, zawsze dopuszczalnych. Gdybyż tylko z tego wszystkiego nie wiało beznadziejne jakieś lekceważenie wszystkiego, co jest „nasze“, co się na pozór wita z serdeczną życzliwością, a o czem się nie wie, nie chce wiedzieć nic zgola. Kiedyż narreszcie skończą się u nas czasy wydawania przez stare, bogate, zasłużone nawet skądinąd firmy takich figlarnych „spisów“, przy czytaniu których wstyd ogarnia — nawet czytelnika.

T-t.

oooooooo

Kronika krajoznawcza.

+ „Kuryer Litewski“ przypomina, że w roku ubiegłym minęło niepostrzeżenie trzydziestolecie pracy naukowej p. Wandalina Szukiewicza, znanego archeologa i etnografa, którzy zdala od ognisk kultury i wiedzy, sam jeden, wśród kłopotów gospodarskich (p. Szukiewicz jest ziemianinem pow. lidzkiego) potrafił od szeregu lat pracować niestrudze-

nie na polu naukowym. Zdobyty przez niego plon naukowy jest tematem najważniejszych jego rozpraw, w których pierwszy na Litwie próbuje jej przeszłość przedhistoryczną ująć w formę syntezy. Prace swoje z zakresu archeologii i ludoznawstwa ogłaszał p. Wandalin Szukiewicz w rocznikach krakowskiej Akademii Umiejętności, w „Pamiętniku Fizyograficznym“, w „Światowidzie“, w „Ziemi“ i t. p., wiele zaś z nich ukazało się w wydaniu osobnem. Wileńskie Tow. Przyjaciół Nauk ma najważniejszą część swego zbioru archeologicznego dzięki p. Szukiewiczowi, jemu też zawdzięcza Krakowskie Muzeum Etnograficzne możliwość posiadania bogatej kolekcji ludoznawczej z Litwy. Obok pracy naukowej i zawodu rolnika nie zaniedbuje p. Szukiewicz obowiązków obywatela polskiego. W swojej Naczy założył i prowadzi ludowe kółko rolnicze oraz Tow. spożywcze. W polskiej prasie wileńskiej często zabiera głos w najżywotniejszych sprawach naszych; jako obywatel i pracownik na polu naukowym zasługuje p. Wandalin Szukiewicz na szczerzy hold nie tylko miejscowego społeczeństwa polskiego.

oooooooo

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Janowi Lenartowi. Wybór aparatu fotograficznego zależy nie tylko od rodzaju zdjęć, jakie ktoś zamierza dokonywać, ale i od sumy, jaką na niego przeznacza. Do zdjęć widoków i grup wystarczyć może aparat z drewnianą kamerą i późniejszym obiektywem t. zw. aplanatem; przy wielkości kliszy 9×12 cm. cena wynosić może 30 rb. i więcej; do fotografowania zwierząt i wogóle ruchu potrzebny jest aparat lżejszy, ręczny z dobrym obiektywem wartości od 60 do 20 rubli przy tej samej wielkości 9×12 cm.

Prosimy o nadesłanie prenumeraty lub wiadomości — czy mamy „Ziemię“ wysłać za zaliczeniem pocztowem.

Dla całorocznych prenumeratorów dawne roczniki z ustępstwem 25%. Prospekt wysłaliśmy.



TREŚĆ: *Franciszek Chłapowski* — Osobliwości przyrody poznańskiej (c. d.) (z 6 ryc.). *Stanisław Lenczewicz* — Wyżyna Kielecko-Sandomierska (c. d.). *Adam Chętnik* — Z Zielonej Puszczy (z 2 ryc.). *K. Kulwiec* — Rosyanin o krajoznawstwie polskiem. — Z naszej turystyki. *Aleksander Schiele* — Wejście na Sonnblick. — Z Pol. Tow. Krajoznawczego — Nowe książki. — Kronika krajoznawcza. — Wkładka: Z okolic wsi Gluchowa, pow. grójecki.
